

Rafał Mikołaj Krasucki

## Zamawianie

– Ona nigdy na głos przy tobie nie będzie się modliła. Nigdy. Jedni powiadają, że z Bogiem trzyma. Dlatego cicho mówi, żeby inni nie słyszeli jak jej odpowiada. Gadają, że umie szeptać na odległość. I ten twój niemota, jest jak urzeknięte stworzenie, ona nie musi go wcale widzieć, żeby go wyleczyć. Ale ja za to słowa nie dam. Są takie cuda, co inne babki robią, ale ta z nich najlepsza. Ona tam proszku z Groty Mlecznej z Betlejem pić nie każe, ani nosić paska świętego Dominika, ani nowenny odmawiać, ani jeździć na sześciogodzinne msze. To różne modlitwy są. Każda na co innego i każdą ona zna. A co dla twojego syna pomoże? Nie wiem. Modlić się trzeba. Ty się módl.

– Panie Fortuna, gdzie mam jej szukać?

Antoni Fortuna miał na sobie ciemną marynarkę w szare paski. Zapięta na środkowy guzik, była sztywna od brudu, jakby noszona całe życie. Spod wygiętego kaszkietu wystawały poskręcane, rzadkie włosy opadające na policzki. Mówił tylko połową ust, ponieważ w jednym z kącików tkwił niedopałek papierosa. Żółta skóra, pełna zmarszczek, była prawie jak maska. Sztywna, z jednym grymasem, nieprawdziwa.

– Kiedyś to do telewizora trzeba było dochodzić, żeby program zmienić. A teraz z daleka przełączasz. I telefony na kabel były, a teraz to telefon w kieszeni nosisz. Lepsza technika i sposoby inne. Może ona ci wcale nie jest potrzebna, bo jak ty nie wierzysz, to dzieciakowi nie pomożesz. Ja ci powiedziałem, co wiem, a co widziałem, to i tak mi nie uwierzysz – starzec wypluł niedopałek i złapał dłonią drewniane ogrodzenie. Zrobił to tak mocno, aż było słychać trzask. – Czasami nie można było patrzeć, jak stworzenie się mordowało. Wiło z bólu. Tłukło o ścianę. Ani jeść, ani wstać, ani zegnać tego, co je napadło nijak nie można było. Doktory tylko ręce rozkładali. A ona pomagała. Pluła trzy razy, po trzy razy na stworzenie, świeczkę paliła i szeptała. Krzyki to nieraz słyszałem. Strasznie cierpiące, jakby ktoś kogoś żywym ogniem palił. Potem tylko cisza.

– Panie Fortuna, mój syn przestał mówić. Nikt nie wie, dlaczego. Z niego i ze mnie zrobili wariata, bo nie wierzą w to, co mówię. Ja... Nie wiem, czy mnie pan zrozumie, ja myślę, że w nim ktoś jeszcze jest. Coś w niego wlało,

jak robak w jabłko. On się tego boi, dlatego przestał mówić. Lekarze dali tylko lekarstwa na choroby, wie pan, te choroby od głowy. Ale to nic nie pomaga. Widzę, jak w nocy wykręca mu ręce, jak on walczy z czymś, co nie chce z niego wyjść.

Mężczyzna opuścił głowę. Fortuna odszedł od ogrodzenia, utykając na lewą nogę. Z kieszeni marynarki wyciągnął papierosa i włożył w usta.

– Pojedziesz do Czeremchy. U popa powiesz, że jesteś ode mnie, od starego Fortuny mu powiedz. Będzie wiedział. Powiedz, że szukasz Andrychowej co ma dar zamawiania. Jeżeli cię pokieruje, to dobrze, jak nie, to ja już nie pomogę. Ludzie mówią, że ona te złe rzeczy do siebie zabiera. Tak ratuje. Ma pewnie z dziewięćdziesiąt lat teraz, a dalej chodzi do cerkwi i śpiewa. Podobno ten dar to dostała za to, co jej we wojnę zrobili. Za gwałty ruskich żołnierzy, za to, że jej rodzinę na jej oczach zastrzelili, że ją w ziemię za żywego zakopali. A ona z umarłych do ludzi wróciła. Nigdy za to co robi pieniędzy nie wzięła, a jak cię przyjmie, to ty jej pieniędzy nie dawaj.

Batuszka Tomasz przechodził przez ulicę Szkolną tak, jakby chciał ominąć każdego kogo spotka. Szedł w kierunku budynku ZDZ-tów, gdzie miał odebrać naprawione pięcioletnie audi. Batuszka potracił psa, który zniszczył prawy błotnik, a naprawa samochodu trwała prawie dwa tygodnie. Pewnie dlatego pop szedł z uśmiechem na twarzy, prawie biegl. Kiedy przechodził przez niebieską bramę ZDZ-tów, zatrzymał go szczupły mężczyzna.

– Proszę poczekać. Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. Mogę na słowo? – zawołał.

– Pochwalony. A co tak zza pleców nachodzi, jak zbir jaki?

– Niech pop wybaczy, ale potrzebuję pomocy. Nie będę tłumaczył, o co chodzi dokładnie, ale przysłał mnie do pana stary Fortuna. Potrzebuję pewnej informacji i tylko pan może mi... pomóc.

– Fortuna? To on jeszcze żyje? Ja już myślał, że on do żony poszedł, ale widać twarda sztuka z niego. On mi dach pomagał robić... i inne rzeczy też robił. Ale o co chodzi? Jest pan jego krewnym czy co?

Mężczyzna wziął oddech i wyjął z kieszeni zdjęcie.

– To jest mój syn. Na imię ma Jan. Jest chory na coś, czego nie mogą zdiagnozować lekarze i...

W tym momencie pop Tomasz przyłożył palec do ust i wydał z siebie przeciągły syk.

– Ja nie chcę tego słuchać. Ja nie znam się na takich rzeczach. W tym nie pomogę. Ja mogę się za pana pomodlić, za syna mogę się pomodlić. Nic więcej.

– Proszę mnie posłuchać, poszukuję Andrychowej. Zna ją pop prawda?

– Nie znam. Tu co drugi to Andrychowiak albo Andrychowski, nie wiem o kogo chodzi.

– Chodzi o to, żeby uratować życie dziecka.

Pop Tomasz spojrział na twarz szczupłego mężczyzny i na wielkie drzwi zakładu mechanicznego w Czeremsku. Wyciągnął telefon z kieszeni.

– Pisz pan, tylko szybko – rzucił, dyktując numer telefonu. – Tylko nie mówić od kogo numer dostał, rozumiemy się?

– Ale ona podobno ma ponad dziewięćdziesiąt lat, jak odbierze...

– Jeżeli pan jest od Fortuny, to pan chyba wie, że ona ze zmarłymi rozmawia, ale to nie znaczy, że nie odbierze telefonu. Jak odbierze to proszę rozmawiać. Jak nie odbierze to... z Bogiem.

Andrychowa odebrała telefon trzy dni po tym, jak szczupły mężczyzna rozmawiał z popem Tomaszem. Rozmowa była krótka, padło zaledwie kilka słów:

– Tak, przyjedzie. Syna weźmie. Do Olszówki, to za Hajnówką. Dom numer 14. Z Bogiem przyjedzie i wejdzie do sieni. Niech czeka wtedy.

Szczupły mężczyzna pojawił się przed domem numer 14 w sobotę rano. Na rękach wniósł do starego drewnianego budynku swojego dziesięcioletniego syna. W sieni stała pralka wirnikowa typu Frania, miotła i dwie pary skórzanych butów. Była też ławka, która błyszczała w ciemnościach. Lśniła tak mocno, jakby była polakierowana kilkoma warstwami Drewnoluxu. Uginająca się w połowie od ciężaru czekających na wizytę ludzi.

Drewniane drzwi otworzyły się cicho. W progu stała kobieta w szarej czapce. Opierała się o laskę. Poprawiła okulary i machając dłonią zaprosiła do środka.

– Rozumie po naszymu?

– Rozumie – odpowiedział mężczyzna.

– Posadzi go na krześle.

Chłopiec patrzył na Andrychową tak jakby pierwszy raz widział tak starego człowieka. Był spokojny. Siedział prosto.

– Nad nami jest Bóg. Jeden dla wszystkich. Wszyscy mówimy tak samo, wszyscy mamy te same myśli. Janek... Janek.

Mężczyzna cofnął się do drzwi i powiedział cicho, prawie szepcząc:

– On ma na imię... Jan.

Babka przyciągnęła do krzesła niewielki taboret. Usiadła naprzeciwko chłopca i dotknęła jego policzka:

– Skaży<sup>1</sup> ty mnie Janek... skaży... co widzisz, jak masz zamknięte oczy? Do kogo chodzisz, jak śpisz? Skaży mnie, Janek... kto z tobą rozmawia, kiedy nie słuchasz?

– Ale on... nie mówi. Nie odpowie.

– Skaży mnie, Janek, kogo się boisz?

Chłopiec spojrział na twarz starej Andrychowej, a potem na szczupłego mężczyznę. Zamknął oczy. W izbie zapadła ciężka, ciemna cisza. Usta chłopca drgnęły. Podniósł prawą rękę i palcem wskazał ścianę z obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej.

– Ich.

\*\*\*

– Zmowa była taka, że ty mi już nikogo nie podsyłasz. Ani ja do ciebie nikogo. Po jaką cholere nam teraz problemy? Mało ci? Czego ty jeszcze chcesz? Prędeż do ziemi trafisz, niż te wszystkie pieniądze wydasz. A jak co wyjdzie na jaw, to mnie z urzędu boskiego na pysk wywałą, a ty na pośmiwisko pójdziesz, Antoni. Na ludzkie usta trafisz. A te cię rozszarpia, bo ty na potrzebujących pomocy się żywisz.

– Nie trafilem i ty nie trafisz. Ot psia mać, jaki ty mądry! Zapomniał już, jak to było. Pamięć masz wybiórczą, patrzę. A mało to żeś do mnie ludzi nasyłał? Mało to ja do Hajnówki ci pieniędzy przywoziłem? Mało? Nie pamiętasz ptaszku kolorowy. I inne rzeczy też pamiętam. Ty się bardziej święty nie zrobisz. Nie za to, co do kieszeni wzięłeś.

– Antoni, ty zrozum, że ja ją dwa dni telefon uczyłem obsługiwać. Ona ledwo widzi, może wcale nie odebrała. Może on też do niej nie pojechał. Bo to już wygasła inwestycja. Babka rady nie daje.

– Babka to i ciebie i mnie jeszcze przeżyje. A tamten z synem wróci. Do ciebie, a potem do mnie. Ja mu

<sup>1</sup> Skaży – powiedz

powiedział, żeby babce pieniędzy nie dawał. Ale on da. To widać było. W wielkiej potrzebie był. Syn mu przestał mówić i taki niemota zostanie. Tu cudów nie będzie, ale trzeba się odwdziżyć. W oczach to miał. On da. Da i to da dużo, Tomaszku.

– Żeby samochodu nie rozbił, to bym posłał go do diabła, do Białegostoku, do lekarzy specjalistów. Ale to tak zawsze jest, że ty mnie zaskakujesz wtedy, kiedy ja w potrzebie jestem. I ja tobie muszę być wdzięczny. Czasami sobie myślę, że ty mnie na innego Boga namówiłeś, że ty tę starą marynarkę to siarką nie bez powodu nasączyłeś. Piekłem od ciebie woni, staruszk. Jakbyś tam na spacer chodził, a nie do cerkwi.

– Nie bluźnij, Tomasz. Bóg daje wtedy, kiedy potrzebujesz. I zobacz: dostałeś, a nie prosiłeś.

– Ja z tego nic nie wezmę. To ostatni raz. Jak wróci, to ty weź te pieniądze, Antoni. Na trumnę. A kiedy do Pana naszego zapukasz i jeżeli on cię wpuści, to ja te pieniądze od ciebie zarobię. Zaśpiewam ci, Antoni, i popiół na głowę położę. I nikt nie będzie nic wiedział, co ja z tobą miałem.

– Gołodupiec byłeś i będziesz. Babka czary odprawi, dzieciak się uśmiechnie, chłop zadowolony będzie i już.

– A pamiętasz, Antoni, taką dziewczynkę, chyba spod samego Zambrowa ją do babki przywieźli? Co ją Andrychowa ratowała prawie dwa dni? Jak złego wzięła do siebie i o mały włos nie umarła? Pamiętasz, stary diable? To teraz też tak może być. Tylko, że ona już tego nie przeżyje. A mi na sumienie czyjeś śmierci brać nie można, a już na pewno pieniędzy.

– To tylko raz tak było. I też nie wiadomo, jaka prawda. Babka dwa dni nie jadła to i mogła źle się poczuć. Ty z racji swojej profesji to wierzyć w takie rzeczy musisz, a ja tam wiem, że z głodu mało nie padła i tyle. Teraz to prosta sprawa. Babka świeczki zapali, poszepta i wypuści do domu. Nikt nie umrze. Pan Bóg na to nie pozwoli, przecież wiesz o tym, Tomaszku. Ty wiesz o tym najlepiej.

\*\*\*

– Razdziewaj jeho<sup>2</sup>. Z góry bluzkie zdejmij i niech siedzi. A ty czekaj. Pilnuje derewi<sup>3</sup>!

<sup>2</sup> Razdziewaj jeho – rozbieraj go

<sup>3</sup> Pilnuje derewi – pilnuj drzwi

<sup>4</sup> Jeho mać – jego matka

<sup>5</sup> Znajsze – wiesz

Babka wyszła do izby obok i przyniosła ze sobą kawał białego, czystego płótna, kłębek czegoś, co wyglądało na poplątane nici, świeczkę i kubek z wodą.

– To len. Jeszcze sprzed wojny. Kiedyś do ludzi ja jeździła, szukała takiego. Tylko to zostało. Nie ma więcej u nas. Woda ze świętej studni, świeca od pszczół robiona. Jeszcze tylko ocet.

Babka poruszała się wolno, opierając się o równie leciwą łaskę. Wydawało się jakby skrząca, zrosnięta ze starą podłogą, od której odrywała zmęczone stopy. Skupiona, wychodziła blada z drzwi drewnianego domu. Ciągłe coś mamrotała pod nosem, patrząc w stronę chłopca.

– Komuś ty, synku, przyszedł do głowy? Tylko robactwo, plugastwo i ciało bez mięsa. A gdzie jeho mać<sup>4</sup>? Gdzie matka jeho? Słyszysz mnie? Gdzie jeho mać?

Mężczyzna, który stał w drzwiach trzymał ręce tak jak trzyma się w kościele, mocno przy sobie, ze splecionymi palcami.

– Wyjechała cztery lata temu i do tej pory nie mamy z nią kontaktu. Zostaliśmy we dwóch, sami.

Babka chrząknęła, wyszeptała coś pod nosem i podeszła do ojca chłopca.

– Znajsze<sup>5</sup>, że jej już nie ma? Nie ma i nie będzie.

Mężczyzna przygryzł usta.

– Nie wiem, gdzie jest, podobno w Niemczech, podobno we Włoszech... Syn od tamtej pory nic nie mówi. Nic. To pewnie przez nią, może on tęskni. Jak pani myśli? On tak tęskni? Nikt nam nie pomógł, żaden lekarz. Tu tylko nadzieja...

– On mówi, tylko go nie słyszysz. Serce matki płacze dwa razy mocniej... Tu inne modlitwy potrzebne. A słowo ciałem się stało, a słowo ciałem się stało... Niech w drzwiach stoi. Niech pilnuje, hardo trzyma i nikogo nie wpuszcza. Co by nie usłyszał, kto by nie pukał, niech drzwi trzyma.

Babka podeszła do Janka. Położyła dłoń na jego policzku, uśmiechnęła się.

– Teraz zimne będzie, ale się nie bój, bo to ocet. A to dobre jest... gorączkę z ludzi wyciąga. Jeszcze kiedyś to ja mokre prześcieradło kładła na stworzenie. Tak leczyłam. A ty zamknij oczki, syneczku. Zamknij i nie słuchaj.

Ręce babki były ciepłe, miękkie, z pomarszczoną, jedwabistą skórą. Dotykały bardzo troskliwie dygoczących

ramion dziesięciolatka. Zapach octu wypełnił pomieszczenie i w tym momencie w chacie zrobiło się ciemniej. Przez niewielkie okno wpadało więcej ciemności, szarości, cienia, który rzucają wysokie chmury.

Mężczyzna zaparł drzwi lewą stopą. Rękę trzymał na klamce.

– Ostawi<sup>6</sup> go w miłości, bez cierpienia, bez koltuna, bez nerwa. Ostawi go na zawsze. A ty, Synie Boży, na drzewie rozciągnany, ty jedyny, módl się za nami.

Chłopiec zaczął się jeszcze bardziej trząść. Słychać było, jak zęby uderzają o siebie. Dygot dłoni. Lewe ramię wygięło się nienaturalnie w stronę drzwi. Babka podniosła płótno i narzuciła na głowę chłopca. Na jego skórze pojawiły się czerwone plamy, które przechodziły w bordowe. Ręka chłopca opadła bez siły.

Kobieta rozerwała kępkę lnu na mniejsze części. Położyła na głowie i zapaliła od świeczki. Płomień uniośł kawałki, rozbłysnął i szybko zgasł. Za oknem starego, drewnianego domu zerwał się wiosenny, zimny wiatr. Uderzał w okiennice, w gałęzie wiekowej lipy i drzwi domu. Mężczyzna jeszcze mocniej zaczął trzymać klamkę.

– Zamawiaju<sup>7</sup> na ciebie. Chryste wzywam, Chrystem Panem wroga odganiam. Niech zmartwychwstanie i zmarznąją się wrogowie jeho. Uciekaj. Niech biegną od twarzy bożej. Rany boże, krew czystaja<sup>8</sup> w ranie bożej niech będzie błogosławiennaja<sup>9</sup>. Pij, Janek, teraz wody ze studni. Napij się dla niej, co ci na ustach siedzi.

Babka podała chłopcu kubek z zimną wodą. Wiatr za oknem wzmagał się coraz bardziej. Przebijał się przez szczeliny drewnianych beli, gwizdał, szumiał, podnosił firanki w oknie. Mężczyzna zamknął oczy i opuścił głowę. Gwizd wiatru był coraz silniejszy, napierał na drzwi. W pewnej chwili ze szpary przy progu wydobył się pisk. Prawie jak dziecięcy płacz. Dźwięk się nasilił.

– Boże, co to? – mężczyzna spojrzał na starszą kobietę, która opierając się na lasce podeszła do niego. – One tak za matką chodzą. Jak szczeniaki za suką. Słysz tylko... jak płaczą.

Babka wróciła do chłopca, objęła jego głowę i pocałowała w czoło. Zaczęła płuć w każdy kąt domu. Powtórzyła trzy razy. Ciągle się modliła.

<sup>6</sup> Ostawi – zostaw

<sup>7</sup> Zamawiaju – zamawiam

<sup>8</sup> Czystaja – czysta

<sup>9</sup> Błogosławiennaja – błogosławiona

<sup>10</sup> Sława Isusu Christu – odpowiednik polskiego „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus”

Pomieszczenie wypełniło zimne powietrze. Hałas zdawał się przechodzić przez ściany domu. Mężczyźni wydawało się, że słyszy głosy, rozmowę, płacz dzieci. Przez chwilę widział postać dziecka zaglądnącego przez okno.

– Zamawiaju na ciebie. Chryste, to stworzenie czyste. Bez skazy. Uratuj stworzenie. Zamawiaju na ciebie.

Wszystko ucichło. Babka zdjęła z głowy Janka płótno. Strzepała popiół i uśmiechnęła się do chłopca.

– Dobrze. Poszło na niebo. Trochę się złościło. Klóciło się. Ale nie ma.

Mężczyzna puścił drzwi i wziął na ręce Janka. Ten popatrzył na niego i zaczął płakać.

– To dom stary i ja stara – wymamrotała babka. – Tu wiatr może chodzić jak chce, śpiewać może, ale nie ma się czego bać. Weźmie chłopca do domu. W ciepło posadzi i rozmawia, dużo mówi.

Babka usiadła na taborecie i spojrzała na ojca i syna.

– Tera zdrowym trza być. Modlić... módl się Janek... Nuu mów: Ojczy nasz, któryś jest w niebie... nuuu... mów stworzenie.

Chłopiec podniósł głowę, spojrzał na bakę i w okno starego domu. Wiatr poruszył gałęzie lipy, ruszył firanką, wcisnął się w szczelinę między drzwiami. W pokoju zdało się słyszeć cichy szepc chłopca:

– Ojczy nasz...

\*\*\*

Kiedy batiuszka Tomasz przechodził przez drzwi domu babki, po wiosennej wichurze nie było śladu. W powietrzu roily się drobiny piasku, które wymieszane z ciepłym słońcem opadały na ulicę i podwórko. Wszedł cicho i od progu zaczął się witać:

– Sława Isusu Christu<sup>10</sup>. Babko, jesteście? Babko?

W domu panowała cisza, pachniało wypaloną świeczką oraz jakimś kwaśnym zapachem, którego batiuszka nie umiał rozpoznać.

– Nie chowajta się. Wiem, że jesteście w domu – pop wszedł do kuchni i nagle się zatrzymał.

Pod oknem z pochyloną głową, opartą o laskę siedziała starsza kobieta. Batiuszka przeżegnał się i podeszedł do babki.



Dotknął jej ramienia, ale nic się nie stało. Potrząsnął jeszcze raz, a głowa owinięta w kwicistą chustę uniosła się. Babka spojrzała na popa i powiedziała:

– Boże myślałam, że to już wieczór<sup>11</sup>. A to jeszcze słońce nad nami. Zachadzi<sup>12</sup> Tomasz. Zachadzi. Czaj nastawię.

Babka pokuśtykała do białego kredensu i wstawiła elektryczny czajnik. Woda zaczęła powoli się gotować.

– Na cóż się do mnie pokwapil znowu? Tyle zachodu dla starej. Przyjdzie po mnie za jakiś czas. Przyjdzie odstrojony, żeby mnie zaprowadzić do Pana naszego. A tak po próżnicy łązi Tomasz, szuka czego? Może co ostatnio tu u mnie zgubił? Zgubił co?

Batiuszka Tomasz odetchnął głęboko i usiadł na krześle, które wydało z siebie pękający trzask.

– Nic nie zgubił. Martwił się ja. Czy u Andrychowej wszystko dobrze? Jak się czuje i w ogóle?

– Oj, pop chyba nie po to przyszedł. Ano powiedz mi chłopcze, powiedz mi dziecko, czemu ty nocy się słuchasz i tak łatwo oczy zamykasz, aaa? Czemu ty święty czelowiek<sup>13</sup>, którem Bóg nakazał mówić w jego imieniu, a w jego języku już nie mówisz?

Batiuszka zbładł, położył dłoń na piersi i powiedział:

– Ja... ja... A co babka za bzdury gada? Ja z troski przychodzę. Teraz to po wszystkich naszych chodzę, żeby dopilnować zdrowia. Czy czego nie trzeba? Czy cali? Ot, takij ze mnie dobry czelowiek.

– Tyś nie jest dobry, Tomasz. Napij sia<sup>14</sup>. Tam masz czaj z pokrzywą, to na nerki dobre. Sikać będziesz lepiej, bo pewnie cierpisz z wczesnej pory? Cierpisz, Tomasz?

– Nie o moje zdrowie chodzi, tylko o babki. Powie mi jedno...

Babka otworzyła czarne drzwiczki kafłowej kuchni. Dołożyła kilka szczap brzozy, powiedziała coś pod nosem, a ogień rozpalil się w całym piecu.

– Powie mi – ciągnął pop – czy ten człowiek, z tym niemotą, synem swoim był u babki?

Babka podeszła do szafki, wyjęła zawiniątko – kawałek starej gazety. Położyła przed popem i rozwinęła papier.

– To, co z niego wyjęła. Złe same. Ale już nie ma.

Przed popem leżał kawałek wosku o dziwnym, ale prawie rozpoznawalnym kształcie.

– I wyleczyła babka?

– Czemu ty, Tomasz, nie patrzysz na to, co ci pokazuje? To twój los tu leży. Nu patrzaj<sup>15</sup>, patrzaj.

– To tylko kawałek wosku.

Babka uśmiechnęła się pod nosem.

– Za czarne na noc, za świecące na dzień, tylko drzazgi z krwi, tylko kolki z kości.

Zaczęła się śmiać, a batiuszka Tomasz wziął do ust pierwszy lyk herbaty na oczyszczenie organizmu. Jego problemy z nerkami dręczyły go od kilku lat. Na niewiele zdały się wizyty u lekarzy, którzy jedyne co proponowali, to garści tabletek, a za jakiś czas groźbę przeszczepu.

– Babka nie strasz, tylko powie, czy pieniądze dał? Dawał babce?

– Nic nie dawał, bo i nie prosiłam. Za syna jeho nic.

– To dobrze, że nie dawał. To po bożemu wyszło. To dobrze.

Batiuszka zrobił drugi lyk herbaty.

– Da mnie rękę.

Tomasz podał dłoń babce. Ta ją podniosła do twarzy i powąchała.

– U Pana naszego na każdego pora przyjdzie, a ty za rękę z diabłem chodzisz. Uściskujesz sia. Głaszczesz po plecach jak kota. A i on cię głaszcz. Ty mu jak narzeczony jaki. Potrzebien dla jego bywania na tym świecie. Ooo te twoje nerki. Widzisz gdzie on siedzi? Boli kiedy chcesz, żeby było normalnie. Taki on jest cwany. On je, ten ból, jak rana co się zasklepić nie da.

Batiuszka szybko zrobił trzeci lyk i wstał z krzesła.

– To ja już pójdę. A babce dziękuj<sup>16</sup> za pomoc. To był dobry człowiek, a i syn niczemu nie zawinił, że się taki urodził.

– On się nie urodził taki jak ty myślisz.

– Pójdę ja, jeszcze dalej. Pomodlić się pójdę za babkę, niech Bóg da zdrowia i siły.

Staruszka spojrzała w podłogę i wyszeptala:

<sup>11</sup> Wieczór – wieczór

<sup>12</sup> Zachadzi – zachodź

<sup>13</sup> Czelowiek – człowiek

<sup>14</sup> Napij sia – napij się

<sup>15</sup> Patrzaj – patrz

<sup>16</sup> Dziękuj – dziękuję

– Za czarne na noc, za świecące na dzień. Tylko drzazgi z krwi, tylko kolki z kości.

– O czym do cholery babka gada? Jaka krew?

Kobieta przeżegnała się, a jej wzrok zatrzymał się na rękach popa.

– Pan Bóg na to pozwoli!... Przecież wiesz o tym... Tomaszku.

\*\*\*

Krokwie w stodole starego Fortuny przypominały napięte luki. Prawie jak kościelne sklepienie, tylko pokryte strzechą. Na klepisko, stary wóz, sieczkarnię, stertę rozrzuconych worków z żytem spadły brunatno-czarne kłęby siana. Jakby stodoła przetrwała już dach i w ciszy konała, rozpadając się na kawałki. Grube, drewniane słupy i poprzeczne żerdzie przypominały rozstawione krzyże. Antoni krzątał się po stodole, próbując naprawić drzwi. Wokół niego leżały narzędzia, kilka zardzewiałych gwoździ, kowalski młot, którego obuch wyglądał na często używany. Lśnił, polyskiwał wygładzonym metalem. Pod ścianą stała duża siekiera do rozłupywania pni. Zakurzona, stara, łuszcząca się kawałkami rdzy, podtrzymywała przechylającą się do środka ścianę. Być może Antoni miał inną, lżejszą, która służyła mu w drewni. O tej po prostu zapomniał.

Batiuszka ubrany był w ciemną kurtkę i dzinsowe spodnie, wyglądał na zmęczonego. Wszedł szybko przez bramkę gospodarstwa Fortuny i od razu udał się do stodoły. Tam stanął za plecami starca i czekał aż ten się odwróci.

– Nu widać, że teraz to ty się już nie witasz ze starymi przyjaciółmi. Tylko zachodzisz jak złodziej od pleców.

– Witaj, Antoni. Po co mnie tu ściągnąłeś? Myślałem, że wszystko omówiliśmy.

– Nic nie omówiliśmy i niczego nie wyjaśniliśmy do końca. Są między nami sprawy... które nie są jasne.

Fortuna odwrócił się, podszedł do popa i podał mu dłoń. Uścisnął ją bardzo mocno. Tomasz poczuł, jak kości dłoni ocierają się o siebie, drapią skórę.

– Widzisz, Tomaszku, ja już stary jestem, ale mnie wydaje się, że jeszcze mogę coś zrobić. A chociażby te drzwi naprawić, wymienić lodówkę w domu, a nawet nowy samochód sobie kupić. Bez pieniędzy to ja nic nie zrobię.

– Pieniądze przepiłeś albo wydałeś na baby. Stary capie, ty... Ja tobie nic nie jestem winien.

– Jesteś.

– Nie jestem.

– Gdzie pieniądze od tego chłopca, co ostatnio tu... z tym niemotą był u mnie? Przestał dzwonić. Był u babki. Uleczyła czy nie?

– Babka mówi, że uleczyła, ale jej pieniędzy żadnych nie dał. I tak by nie wzięła.

– A skąd mnie to wiedzieć, Tomaszku? Może tobie dał?

Pop odsunął się pod ścianę stodoły, ponieważ Fortuna wziął do ręki ciężki kowalski młotek. Wymierzył nim w batiuszkę zdecydowanym ruchem. Zrobił to bardzo szybko i precyzyjnie. Obuch zatrzymał się koło ust.

– A może ty złodziej jesteś? Sobie pieniądze zabrał? Sobie przysposobił na nowy samochód? Mało ci z tacy spada, złodzieju? Mało masz napchane w kieszenie?

– Osz ty... mnie... złodziejem. Diable ty. Ja nikomu... nigdy... nic...

– A właśnie, że kradłeś. Ze mną, od tych wszystkich ludzi co do babki przychodzili. Kradłeś, a teraz oddaj co moje. Połowę mnie dawaj.



Fortuna przyłożył młotek pod brodę popa Tomasza. Ten przestraszony zaczął się jękać.

– Nic.. nic ci nie dam. Nic nie dostałem. To kłamstwo... nic nie mam.

– To ze swojego oddasz. Wyciągaj z kieszeni. Z tej swojej czarnej sukienki. Noo, dawaj.

– Won psie jeden. Won czarcie, co mi życie zepsuleś. Ty z tymi swoimi pomysłami. To dlatego babka tak mówiła, to dlatego ona gadała, że siarką czuć, że ty diabeł.

– A ty ptaszku kolorowy, ty nawet mężczyzną nie jesteś. Chłopem nie jesteś. Bo ci tam wszystko wycięli. Wygryźli ci na spowiedziach, na klęczkach ci wygryźli. One to zrobiły i oni. Nie masz odwagi, żeby żyć jak chłop. Obce żony do lasu prowadzać, ich dzieci do domu na słodczyce zapraszać. Co ty myślisz, że ja nie wiem, kto z nas większy diabeł? Tyś za pieniądze łzy dzieci zakopywał w kieszeniach rodziców. Tyś je wodził, pokazywał, jaki ty mężczyzna. Myślisz, że nie wiem, co o tobie mówią ci, którzy chcą zapomnieć? Ile po wioskach rodzin przez ciebie płakało, bo wstyd powiedzieć coś ty z ich dziećmi wyczyniał? A ja wiem wszystko i wszystko mogę powiedzieć. Ty złodzieju, gwałcicielu...

Pop Tomasz wyczuł w prawej dłoni drewniany, lepący się od brudu trzonek. Wpasował się idealnie w zaciskające palce. Zimny, ociekający rdzą obuch świsnął w powietrzu. Tomasz uderzył Fortunę z boku, trafiając siekierą pomiędzy szyję, a lewy obojczyk. Puścił ją i się odsunął. Fortuna upadł na kolana i przewrócił się na plecy. Z rany trysnęła krew na kawałki desek i piaskowe klepisko. Zaczęła szybko parować, a brunatna plama robiła się coraz większa. Starzec jęknął, a z jego ust wydobył się czerwony bąbel. Odchylił głowę i przestał oddychać.

Batiuszka Tomasz spojrział na swoje dłonie, a potem na ciało. Odwrócił się i belkocząc „Nie jestem diabłem” wybiegł z gospodarstwa.

W stodole Antoniego Fortuny zrobiło się cicho, ale po chwili zerwał się wiatr, który wpadł do środka przez otwarte drzwi, przez dziury w ścianach. W powietrzu zakłęciły się drobiny piachu i zapach świeżej krwi. To wszystko uniosło się lekko do góry, w dach, w niebo, na które zaczęły wpływać jasne, rozświetlone wiosenne chmury.



foto. archiwum prywatne autora

## RAFAŁ MIKOŁAJ KRASUCKI

– dziennikarz, z wykształcenia politolog. Przez ostatnie lata był zastępcą redaktor naczelnej miesięcznika „Benefit”, obecnie kierownik Działu Edukacji Kulturalnej i Organizacji Imprez w Miejskim Domu Kultury – Domu Środowisk Twórczych w Łomży. Pasjonat poezji, podlaskiej przyrody oraz wędkarstwa.